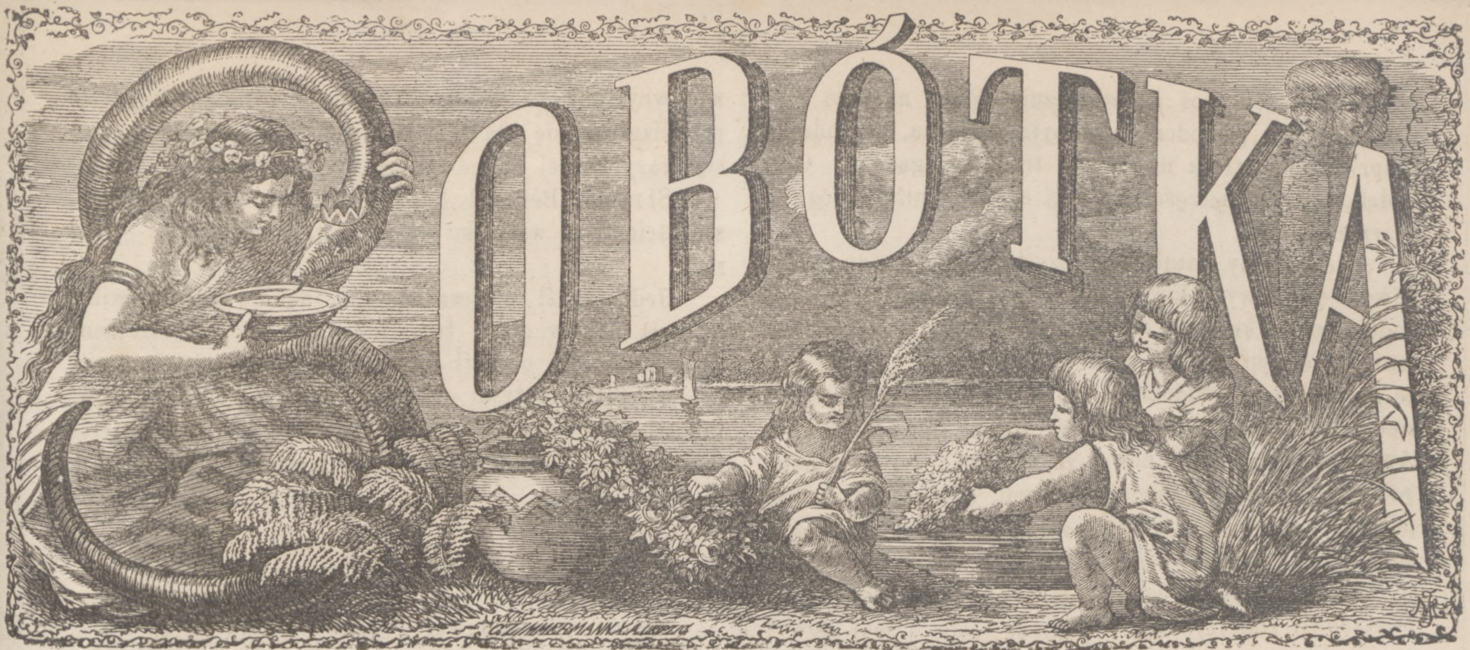


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№. 18. Poznań, dnia 30 kwietnia 1870. Rok II.

Milion na poddaszu,

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

XXX.

Od czasu nowego lokatora, zmienił się porządek życia na poddaszu. Szambelanowa, jakby się oszczędzać chciała, powiedziała nauczycielom chodzącym do Tereni, że jest trochę słaba i że potrzebuje odpoczynku.

Natomiast przychodził bardzo często podczaszyc. Grał na klawikorcie najnowsze melodye, przyniósł elegancką cytrę i przy świetle księżyca budził w niéj jakieś dziwne smętne tony, których Terenia przez całą noc zapomnieć nie mogła...

Raz nawet namówił ją aby z nim mały i łatwy duet zaśpiewała, i duet udał się tak wybornie, że nawet szambelanowa i Bernard byli z tego kontenci. Nawet w rysunkach dawał jéj niektóre rady i okazywał jéj swoje szkice.

Mimo to wszystko, szambelanowa była nieubłagana co do porządku domowego. O zmierzchu zawsze był śpiew nabożny „O matko Boża, lilio niebieska.“ Obecność podczaszyca nie przeszkadzała temu porządkowi. Wszyscy śpiewali tę pieśń, Elżbieta i Anuśka, do których również i podczaszyc przyłączyć się musiał.

Dziwnem a nawet śmiesznem wydało się podczaszycowi to stękanie kościelne, ale wszedłszy raz na poddasze nie mógł wyłamać się z pod powszechnéj reguły. Tylko czasami przychodziło mu do głowy, coby to na to wielki świat powiedział, gdyby go ujrzał śpiewającego pieśni kościelne ze staremi babuniami sługami!... Wtedy krew uderzała mu do twarzy i tylko nadzieja miliona trzymała go w tym arcyniewygodnym pokoiku!...

Do tego jeszcze były inne umartwienia. Szambelanowa zapraszała go często na obiadek i na kołduny. Po takim traktamencie wypadał podczaszyc jak szalony z poddasza i szukał czem prędzéj oddziaływaczy na to co jadł i co widział!

Wszystko to jednak nie zbiło go z toru, którym postępywać do celu zamyślał. Śpiewał pieśni kościelne jak dziad szpitalny, jadł tłuste kołduny bez serwety, krajał łykowate mięso jakimś kozikiem — słowem robił wszystko, co tylko świątobliwy patryarcha mógł robić, gdyby się o swoją niebogę starał, a którego historya wisiała w jego pokoiku!...

Wiedział bowiem dobrze, że tylko przez takie męczarnie można dostać się do miliona, który stara szambelanowa, zdziwaczała przez różne niepowodzenia w życiu, ogrodziła cierniami i ostrokołem.

Nie były to wprawdzie różane dni jego życia, ale po za niemi był milion... tylko milion i nic więcéj!

Zrazu był Bernard kontent z takiego ożywienia poddasza. Jakkolwiek żadnych przyrzeczeń ani przysiąg ze strony Tereni nie miał, czuł jednak sercem, że ona już do niego należy. Nie przypuszczał więc, aby nowy lokator pierwszą lepszą piosenką, udatną fryzurą lub relacyą Anusi o złotéj miednicy, mógł mu skarb jego odebrać.

Tymczasem coś się widocznie działo na jego niekorzyść. Czy powodem tego była piosenka, czy udatna czupryna, czy złota miednica, trudno odgadnąć. Czuł nadchodzące nieszczęście więcéj sercem, niżeli mógł je oczyma widzieć.

Nieopatrzny dotąd na wszystko, jak każdy szczęśliwy i poczciwy człowiek niechciał Tereni najmniejszem podejrzeniem krzywdy wyrządzić. Dzisiaj zaczął się baczniéj rzeczom na poddaszu przypatrywać. Spostrzegł, że nowy lokater widocznie ma jakieś zamiary, i że nawet przed biednym aplikantem wcale się nie ukrywa. Aplikanta nie uważał nawet za rywala! Był to u niego po prostu biedny człowiek, którym się szambelanowa posługuje i za to czasami kołdunami karmi. Innego znaczenia nie miał on dla niego.

To spostrzeżenie podrażniło w nim całą jego duszę. Postanowił zmierzyć się z podczaszycem i był pewny że go pokona.

Pierwéj na wieczorkach u szambelanowéj był prawie biernym spektatorem. Słuchał co podczaszyc opowiadał, i cieszył się z jego konceptów wraz z innemi. Słuchał go gdy grał lub śpiewał, lub patrzał na jego obrazki. Teraz spostrzegł, że nowy lokator zaczął go oskrzydlać. Terenia tylko jego słuchała i nim się bawiła.

Postanowił więc wyprzeć go z zajętego stanowiska. W rozmowach potrzebujących nauki i rozległych a gruntownych wiadomości, nie było to trudnem. Podczaszyc mógł wprawdzie o wszystkiem mowić, ale wiadomości jego były powierzchowne, a często nawet fantazyą sztukowane. Bernard był tutaj wyższym. To téż na tem polu rozpoczął nielitościwą walkę. Walka udawała mu się wybornie. Podczaszyc pobity często kapitulował a szambelanowa wtedy z tak dziwnym uśmiechem patrzała na Bernarda, jakby myśli i zamiary jego odgadła.

Pobity jednak na tem polu, miał podczaszyc kryjówkę, na któréj Bernard już mu nic zrobić nie mógł. Siadał bowiem do klawikordu i grał lub śpiewał. Wtedy Bernard biedny kapitulował i widział na swoje udręczenie, jak muzykalne uszko Tereni chwytało z roskoszą tę szeroką mowę dwojga dusz...

Najstraszniejszą była dla niego cytra. Był tego przekonania, że ten instrument wynaleziony jest przez samego szatana, aby nim serca kobiece zdobywać!... Metalowy bowiem dźwięk tych strun, drżący i skarżący się, szedł gdzieś wprost do duszy i cichym szeptem namawiał ją do zakazanych marzeń i rozkoszy...

Tak sobie w téj chwili wyobrażał cytrę Bernard. Terenia jak druga Ewa przepadała za cytrą i zdawało się, że jest w siódmem niebie, gdy podczaszyc po strunach stalowych zakrzywionym palcem brządkał!...

Kiedy tak sobie Bernard rozważał, był bliskim rospaczy. Widział, że ani jego nauka, ani poczciwe i zacne serce z takim adwersarzem sprawy nie wygra. Wyższość bowiem adwersarza, chociażby tylko pozorną widział we wszystkiem. On był człowiekiem pracy, tamten człowiekiem wielkiego świata. Człowiek wielkiego świata jest we wszystkiem artystą. On zawsze i wszędzie pozuje, a to kobietom podoba się. On potrafi trochę wiadomości i dowcipu sprzedać dobrze, podczas gdy człowiek pracy jest za rzetelny i za mało wprawny, aby to zrobił. Tamten uczy się całe życie prześlizgiwać się gładkim frazesem, ten potrzebuje dziesięć razy więcéj umieć od tego, co wypowie.

Słowem Bernard był zagrożonony wielkiem nieszczęściem, i wszystko teraz zawisło tylko od — Tereni.

Jedna myśl pocieszała go. Jakkolwiek sam wilka wpuścił do owczarni, tem jednak pocieszał strapione serce swoje, że uczynił z najszlachetniejszych motywów i że za takie motywa nie powinien go Pan Bóg karać tak srogiem nieszczęściem!... A Terenia miała teraz rozstrzygnąć, czy ta pociecha nie była płonną!...

XXXI.

Bernard zrezygnował z dalszéj walki, bo na cytrze ani na klawikorcie grać nie umiał. Postanowił tylko obserwować Terenię, aby się przekonać, czy jest jeszcze jaka nadzieja dla niego, czy jéj już zupełnie nie ma!

Terenia dziwnie mu się przedstawiała w tych kilku tygodniach. Było to studium nader ciekawe.

Zrazu zdawało mu się, że jéj miłość dopiero z nowym lokatorem zaczęła rość do prawdziwéj potęgi. I wierzył temu Bernard. Tłumaczył sobie ten szczególny objaw tem zwykłem doświadczeniem, że prawdziwe uczucie rośnie w oddaleniu. Dopóki był z nią o ścianę, dopóki mogła go każdéj minuty widzieć lub słyszeć, dopóty może jeszcze nie miał dla niéj tego uroku, jaki zazwyczaj ma osoba nieobecna i oddalona. Wprawdzie oddalenie to ograniczało się zaledwie na kilkadziesiąt kroków, w historyi jednak poddasza było zawsze oddaleniem, a wyciągniona dłużéj nić sympatyi, mogła drażnić serce.

Miłość Tereni rosła bowiem teraz widocznie. Ciche spokojne przywiązanie zastąpiła jakaś gorączka. Gdy Bernard przyszedł, Terenia chwytała go za rękę z taką gwałtownością, jakby się o niego lękała. Jéj oczy były takie niespokojne, tak ustawicznie na niego patrzały, taki jakiś przestrach w nich się malował, jakby dni jéj cichego szczęścia już były policzone! Pulsy jéj biły żywiéj, a często przyciskała rękę do piersi, jakby ją serce bolało!...

Bernard tłumaczył to sobie bardzo dobrze. Cieszył się szczęściem swojem i dziękował Bogu, że w jego sieroctwie nie opuścił go, zsyłając mu na przewodnika takiego anioła!

Po niejakim czasie zaczęła ta gorączka Tereni niepokoić go. Mógł to być anormalny stan jéj duszy, wywołany jakąś walką wewnętrzną!... Cóż to miała być za walka? Z czemżeż to walczyła Terenia?...

Gorączka ta chorobliwa zaczęła zwolna opadać. Terenia uspakajała się coraz więcéj i powoli, jak po każdem wysileniu, zaczęła zapadać w jakąś dziwną apatyę. Gdy Bernard wszedł do pokoju, nie biegła z nim się przywitać, tylko spokojnie siedziała na sofie. Podała mu wprawdzie rękę jak dawniéj do ucałowania, ale ta ręka nie miała już dla niego tego sympatycznego uścisku, jakiem go dawniéj elektryzowała...

Była spokojną chociaż zawsze serdeczną. Przytem bardzo często wpadała w zamyślenie.

Czasami była tak roztargnioną, że niewiedziała, co do niéj mówią. Bernard spostrzegł, że nie tylko taką jest dla niego, ale także dla podczaszyca. Nawet klawikordu i cytry niechętnie słuchała...

— Cóż to może oznaczać? pytał siebie poraz setny Bernard i nigdy odpowiedzieć nie umiał!

Nareszcie zaczęła Terenia z tego dziwnego uspokojenia, przechodzić w jakiś głęboki smutek. Siedziała po całych dniach zadumana. Często błyszczały jéj oczy łzami. Głos jéj miał dziwną wibracyę gdy mówiła. W jéj głosie były łzy, w jéj oczach choć suchych, były łzy, w jéj wszystkich ruchach były łzy!

I znowu pytał siebie Bernard: Co to znaczy? Zkądże ta melancholia?

Kiedy właśnie jednego dnia nad tem myślał i nic wymyślić nie mógł, spotkał koło cukierni podczaszyca, na którego twarzy malowało się wielkie zadowolenie. Wymachiwał laseczką w powietrzu, jakby ta była berłem, a on królem tego świata! Dosyć głośno, bez względu na przechodzących, nucił sobie jakąś wesołą aryjkę. Głos jego był czysty i pełny, jak głos szczęśliwego człowieka, który w téj chwili niczego więcéj nie pragnie do szczęścia!...

To uderzyło Bernarda tem bardziéj, że przez kilka dni był podczaszyc smutny i osowiały.

Bernard długo myślał nad tem. Serce jego ogarnęło jakieś nieprzyjemne przeczucie...

W końcu jednak przyszedł do tego przekonania, że to co widział, było dopiero połową obrazu, że należy obaczyć drugą połowę... Szybko więc pobiegł na poddasze, choć to nie była godzina zwykłych jego odwiedzin.

Na poddaszu zastał Terenię, gdy stała przed zwierciadłem i z uwagą w nie się wpatrywała. Była dzisiaj daleko staranniéj ubrana, niżeli zwykle. Gdy się do niego obróciła, spostrzegł Bernard, że miała twarz ożywioną jakiemś wielkiem wewnętrznem zadowoleniem. Oczy jéj błyszczały jaśniéj, a głos, gdy do niego przemówiła, był tak pełny i dźwięczny jaki tylko być może przy najwyższem naprężeniu wszystkich sił żywotnych.

Gdy Bernard to, co na ulicy widział i słyszał, z tem porównał, co tu widział i słyszał, westchnął głęboko i głowę zwiesił..

Spojrzał na szambelanowę — szambelanowa miała twarz smutną i jakoś unikała jego wzroku...

Terenia na widok Bernarda nie straciła bynajmniéj na humorze. Owszem z uśmiechem, a nawet z jakąś śpiewką zbliżyła się, podała mu rączkę, uścisnęła go serdecznie. Ale uścisk ten zdawał się mówić:

— Ja cię zawsze kocham, ale jak — brata, lub przyjaciela. Zatrzymam po tobie jak najsłodsze wspomnienie, ale żoną zostanę tego, który tak pięknie gra na cytrze i ma — złotą miednicę! Wierzę, że w życiu może nieraz wrócę wspomnieniem do ciebie, do tych chwil złotych, ale tymczasem bądź mi zdrów, bo na mnie czeka — kareta angielska!

Bernard czuł, że go taką zdawkową, nic nie kosztującą monetą odprawić chciano, a uścisk drobnéj rączki wydawał mu się w téj chwili jak ukąszenie zjadliwéj żmijki, która łasząc się, śmierć przynosi...

Terenia nie widziała jego bolu. Śpiewająca, rozpromieniona, w żywych podskokach, jakby była baletnicą, zbliżyła się do klawikordu i grała tak po mistrzowsku, jak nigdy! Żadnych w téj chwili nie było dla niéj trudności!...

Bernard nie mógł dłużéj tutaj pozostać. Dla wezbranéj piersi za ciasno było na poddaszu, skłamał może poraz pierwszy w życiu, jakiś pilny interes i wyszedł.

A za nim po ciemnych schodach szły wesołe akordy, które wymykały się jak swawolne, złotoskrzydlne muszki z pod rączki Tereni i brzęczały mu dziwnie w uszach... a z ulicy zachodziła wesoła piosenka podczaszyca...

Tylko jednéj rzeczy zrozumieć nie mógł: Dla czego Pan Bóg za tak szlachetne motywa odstąpienia tego pokoiku, tak srogo go ukarał?..

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kamieniec.

(Z 2 rycinami.)

Zwiedzając kolejno grody i wsie ojczyste zbliżyłem się do Kamieńca. Ze skalistego wybrzeża Smotrycza patrzyłem na rostaczający się przedemną widok, a myśl mimowolnie cofnęła się wprzeszłość, kiedy jeszcze orły pewne swego schronienia gniazda tu sobie wiły. Czas to odległy, że tylko śmiała wyobraźnia może wysnuć obraz dzikiego Kamieńczana, jak w nurty spienionéj rzeki strącał łódź rybackę, albo wpatrując się z młodzieńczem uniesieniem w jasne oblicze słońca, przy dźwięku gęśli, nucił pieśń na cześć światowida.

Od téj chwili, ile to do późniejszego grodu na falach czasu spłynęło pamiątek!

Podole dawniejsze było przez wiele lat przedmiotem zachceń chciwych łupów i zaboru sasiadów: Tatarzy, Wołosi wdzierali się tutaj, gnani żądzą rabunku, kiedy Turcy o zaborze kraju myśleli. Kamieniec, stara warownia, położony na krańcach cywilizowanego świata, musiał być z konieczności polem sporów i zapasów z wrogiem. I rzeczywiście o tę ostatnią wojenną placówkę chrześcijańskiéj Europy nie jednokrotnie, bo przez długie wieki rozbijała się potęga Muzułmańska.

W roku 1621, kiedy sułtan Osman podstąpił pod mury Kamieńca i ujrzał skalistą warownię, zapytał jednego z obecnych: Kto ją zbudował? Bóg stawiał ją w cudownéj okolicy, odpowiedziano. — To niech ją tam zdobywa — rzekł i kazał zatrąbić do odwrotu. Mahomet IV w r. 1672 korzystając z niepokojów, pod błahym pozorem wypowiedział wojnę, a 3 września wjechał już do katedry miejscowéj jako do świątyni muzułmańskiéj; podanie utrzymuje, że orszak ten zwycięzców postępował przez ulicę usłaną obrazami świętych zrabowanych w tutejszych przybytkach Pańskich, których było podówczas 23. Turcy zostawali w Kamieńcu przez

lat 29. Zostawili po sobie dużo nędzy, wspomnienie ucisku do dziś w podaniu przechowanego, kraj cały w ruinie, miasto rozwalone, pola zarosłe chwastem. W mieście, jako pamiątka ich pobytu zostały: dżamia, minaret przytulony do frontonu katedry, kazalnica z ciosu w podominikańskim kościele, most tak zwany turecki, łączący miasto z właściwą warownią i spiczaste wschodniéj architektury dachy na bastionach fortecy.

Załączone ryciny wyobrażają dach katedralnego budynku, wierzchołek minaretu i dzwonnicę katedralną; sama świątynia wzniesiona na placu ciasnym, okolonym zewsząd domami, na południowéj jéj stronie widny duży budynek dwupiętrowy, jest to gmach poseminaryjski, staraniem ks. Gruntowicza wzniesiony. Minaret zbudowany był zaraz po zajęciu Kamieńca przez Turków, z niego to mołła mahometański wzywał wiernych na ranne i wieczorne modlitwy. Budynek ten przybudowany do frontonu, na lewo od głównego wejścia do katedry, przechował się aż do dzisiaj, z tą tylko główną różnicą, że miejsce pogańskich bogów, zajął wizerunek Matki Najświętszéj. Półksiężyca nie zdjęto, bo Ottomanie warowali sobie przy opuszczeniu miasta, poszanowanie jak dla niego, tak i dla ambony do dzisiaj zostającéj w kościele podominikańskim.

Ale jeszcze jedno smutne wspomnienie łączące się z minaretem i żyjące w podaniu ludu. Przed laty kilkunastu, młoda i ładna dziewczyna rzuciła się z minaretu na bruk cmentarza kościelnego... czy boleść wielka, czy rospacz popchnęła ją do tego czynu, nie wiemy, nie śmiemy zresztą podnosić tajemnicy, prywatnego życia męczennicy, a cichym westchnieniem współczucia i litości czcimy jéj samotną, nie poświęconą mogiłę. Ale i ona ma dnie uroczyste Od czasu do czasu ręka niewidzialna stroi ją w kwiecie, którego widok na samotnéj mogile dziwnie bolesne uczucia w duszy budzi.



Katedra w Kamieńcu z dzwonicą.

Kamieniec założony został podług dawnego podania przez jednego z książąt litewskich, Koryata Olgierdowicza. Najdawniejszą o nim wzmiankę znajdujemy w Długoszu w r. 1218. Obecnie liczy 18 tysięcy mieszkańców; okolice Kamieńca należą do najpiękniejszych w ojczyznie naszéj.

Czem niegdyś był dla Kamieńca Muzułmanizm, tem dzisiaj jest schizma. Kościoły, obrazy świętych, kapłani i wszystko co tylko z polskością i katolicyzmem ma związek, pod naciskiem ustąpić musi miejsca barbarzyńskim najezdcom. Wyroki Opatrzności są niezbadane; któż zaręczy, że prawy posiedziciel uie wróci znowu do swych posad?... kiedyż to o Boże!?...

Bal pod względem hygienicznym.

(Dokończenie.)

Wszystkie te i tym podobne środki, naprowadzają na drogę błędu i grzechu. Róż na twarzy panny czy mężatki, jest patentem fałszu, który nikogo uczciwego nie zhołduje, a jeżeli znajdą się czciciele fałszywych wdzięków, to niezawodnie pod tą obłudną maską ich uwielbienia inne ukrywają się zamiary. Na Wschodzie wszystkie kobiety różują się, farbują włosy i paznogcie; jest to zwyczaj narodowy, wypływający z grubych przesądów, będących mięszaniną głupstwa i fanatyzmu religijnego. Natura też, mszcząc się wyrządzonéj sobie niesprawiedliwości, pozbawia je przed czasem pięknych włosów, osłabia i garbowaci paznogcie, a za róż odbiera zęby i przez usta wypycha woń zepsutą.

Ale pod względem moralnym żądza przypodobania

się i piękności nierównie straszniejsze wywiera szkody! Mało jest kobiet, coby bez tajonéj zazdrości poklaskiwały rywalkom w urodzie, sztuce przypodobania się lub talentach, a zazdrość ta, jeżeli dojdzie do wysokiego stopnia, zamienia się w nienawiść, pobudza do zbrodni i wyradza okrucieństwa. Bezwątpienia nie tyczy się to dusz szlachetnych, umysłów wzniosłych, oświeconych czystemi zasadami nauki chrześcijańskiéj, lecz są kobiety w których namiętności nie mają granic. Detrika, żona Teodoberta, jednego z pierwszych królów Francyi, nie kazałaż utopić własnéj córki, z zawiści, że ta od niéj była ładniejszą? Głowa Maryi Stuart nigdyby nie spadła na szafocie, gdyby jéj kibić miała jakąbądź niedoskonałość. Ale odwróćmy oczy od smutnego widoku zbrodni, wywołanych przez zazdrość i zawiść, a wyrodzonych z żądzy podobania się i piękności.

Przepisy hygieniczne, godzące wszelkie zabawy, a szczególnéj tańcujące, ze zdrowiem, są proste i łatwe do zachowania. Do matek głównie należy czuwanie nad zdrowiem swych dzieci, bo zdrowie jest najdroższym skarbem życia, a życie, ten dar Boży, jest nieustannym ruchem, ono objawia nam wieczną przytomność Boga w czasie, przestrzeni i duchu naszym; możnaż więc nie dbać o życie i nie szanować zdrowia?

Do matek to hygiena podnosi głos błagający, aby ich oczy w każdéj chwili i na każdém miejscu zwrócone były w stronę, gdzie ich dziatwa oddana zabawie może zapomnieć się, i jednym nierozważnym czynem zepsuć zdrowie na długo, a często na zawsze. Zalecać należy umiarkowanie w tańcu, bo zbyteczne wysilenie, pobudza nadzwyczajnie bieg krwi we wszystkich naczyniach, a pobudzenie to nieprawidłowe, jest najzgubniejsze dla młodych panienek, już z natury swojéj drażliwszych od mężczyzn. Częstokroć młoda panienka zaledwie w kwiecie dojrzałości, tańcująca z zapamiętałością, skutkiem zbytecznego przyspieszenia obiegu krwi, uczuje ból w jednym z boków lub w piersiach; lękając się przecież, aby jéj nie wyłączono z zabawy, którą rada z namiętnością podzielać, zataja cierpienie, uważając je za chwilowe i nieraz tym sposobem nabywa zarodu szybko rozwijającéj się choroby.



Fronton katedry.

Bladość twarzy zdradza niedobry stan zdrowia; osoba bledniejąca w tańcu, nie powinna nigdy tańczyć. Oby wszystkie matki i dziewice polskie przejęły się tą radą, a liczba ofiar zmniejszy się niezawodnie!

Nie wszyscy znoszą kręcenie się w walcu, kto więc najmniejszy zawrót głowy uczuje, nie powinien walcować, bo rychło nastąpić może stan podobny do choroby morskiéj.

Suche i gorące powietrze, w połączeniu ze sztucznem, rzęsistem światłem, wywiera szkodliwy wpływ na oczy, bo rażąc wzrok i wysuszając torebki łzawe, łatwo sprowadzić może zapalenie, a wiadomo że choroby zapalne, mają nieszczęśliwą własność powtarzania się. Szczególniéj też przy wyjściu strzedz się należy przeciągu zimnego powietrza, doświadczenie bowiem nauczyło, że najczęściéj sparaliżowanie oczu następuje skutkiem nagłego oziębienia tychże. W zimie zwłaszcza, przestrzegać i chronić się należy chłodnego przewiewu (cugu) powietrza.

Moda ma swoje prawa, ale i hygiena ma swoje, należy więc do zdrowego rozsądku uczynić dobry wybór między prawami mody. Kobiety wieleby na tém zyskały, gdyby więcéj radziły się hygieny, jak zwierciadła i cudzych oczu. Za zasadę przyjąćby należało odrzucenie wszelkiego ubrania, które w jakibądź sposób dolega. Jak można tańczyć, jeżeli krój sukni nie pozwala ręki podnieść, jeżeli szczupłe trzewiczki ściskają piękną nóżkę. Nawet i rękawiczki zbyt obcisłe są bardzo szkodliwe, bo tamują zwyczajny bieg krwi. O sznurówkach nic tu nie powiemy, poprzednio już bowiem objaśniliśmy zgubny ich wpływ na zdrowie.

Zabawy zbiorowe nie ograniczają się na tańcach, rozmowach mniéj więcéj zajmujących, uczonych, lub nudnych, na grze w karty; w przeplatających je spoczynkach posila się towarzystwo napojami i żywnością. Kto zmęczony tańcem, potrzebuje napoju, komu głód dokucza, pragnie pokarmu.

Żądania napoju i żywności są tu na swojém miejscu; ale zastosowanie tych posiłków, jeżeli jest nader ważnem pod względem zdrowia w zwyczajnym sposobie życia, to nierównie ważniejszém w razach niezwyczajnych, jakiemi są bale, zabawy tańcujące i wszelkiego rodzaju zebrania, przeciągające się długo w noc; albo do rana. Jeżeli wedle słów uczonego Brillat Savarin (Fizyologia smaku, medytacya 3, część 21), na biesiadach urzędowych, rozstrzygają się często losy narodów, to u nas w Polsce biesiady mogą przynajmniéj nadwerężyć zdrowie, rozumie się, gdy nie przewodniczy im umiarkowanie.

Dzięki Opatrzności, obdarzającéj zawsze nasz naród zdrowym rozumem, tak źle już u nas nie jest obecnie.

Pojęcia starożytnych filozofów, wcale były różne od dzisiejszych; dla tego żaden z mędrców nowożytnych (z wyjątkiem chyba gdzie w Chinach) nie uzna za słuszną zasadę Plutarcha, utrzymującego „że biesiady łączą towarzystwo, że są podstawą rólnictwa i sztuk pięknych, przyrodzonem źródłem rozkoszy.“

U nas przynajmniéj jest inaczéj:

Towarzystwo rólnicze, jako najpoważniejsze zgromadzenie krajowe, dało przykład w licznych posiedzeniach swoich, że prace około dobra ogólnego mogą i powinny obejść się bez wszelkiego stuku, huku i puku. Bale

skromne, biesiady ciche i rzadkie, oto w tych czasach filozofia obywateli naszych; jakże ona odbiegła od Plutarcha!

Biada zawsze człowiekowi, u którego zmysłowość mieszka jakby na pierwszém piętrze, a duch na drugiem lub na dole!

Ale wróćmy do przedmiotu wyłącznie nas zajmującego, do pokarmów, do napojów, do chłodników balowych. Filozofia medycyny zaleca jeść i pić, stosownie do głodu lub pragnienia.

Otóż każdy człowiek od wieku dojrzałości, aż do schyłku wieku męzkiego, potrzebuje pożywienia tylko dwa razy w 24 godzinach, wyłączając rano herbatę lub kawę. Bale rozpoczynają się późno w noc, zatém życzyćby należało, aby przyjęto za zasadę przybywanie na zabawy tańcujące, po wieczerzy o właściwéj, spożytéj godzinie. Ale zamiłowanym do tańców i zabaw kobietom, sama myśl o nich już odbiera apetyt; często jeżeli nie suszą, to przeposzczą dzień cały, i głodniuteńkie, ściśnięte poczynają hasać!

Taniec, jak to mówiliśmy, męczy, więc głód objawia się nie w czasie, zwłaszcza że osoba tańcująca przybyła już na bal — głodną. Ciasta i cukry, najniezdrowsze z pokarmów, zrazu zaspakajają łaknący żołądek; napoje łagodzące, a zawsze zimne, wypełniają go, a taniec, obudzając pomału działanie żołądka, sprawia, że zbliżywszy się do osoby tańcującéj w tym stanie przetrawienia, słyszymy nieraz jakieś wewnętrzne klekotanie.

Jakiegokolwiek jest składu wieczerza, czy wyłącznie z zimnych, ciepłych lub mięszanych potraw, zawsze ona ma miejsce późno w noc. Mając na uwadze tańcujących tylko, widzimy ich od razu zgromadzonych w jadalniach, gdzie oczekują zastawione stoły. W pokojach tych inna jest zwykle temperatura jak w sali do tańca; pierwsze wrażenie zimna wywołuje powszechny prawie kaszel; osoby drażliwsze, a szczególniéj kobiety, doznają dreszczów, mogących pochodzich z zimna, głodu, albo też z obu tych przyczyn. Rozmowa na wstępie wieczerzy nie grzeje; krew nagłą zmianą temperatury umyka z powierzchni i kończyn wewnątrz ciała; cieplik żołądka podnosi się, i w takim to fizyologicznym stanie zdrowia rozpoczyna się spożywanie. Szczupłość miejsca nie pozwala nam rozszerzać się nad naturą potraw; życzyć jednak należy aby każdy, wedle własnego doświadczenia, brał się do takich, które najłatwiéj przetrawia. W ogólności jak w tańcu tak i w pokarmach zaleca się umiarkowanie, a szczególniéj co do potraw, które wyjątkowo oddziaływają na mózg i na wzrok, jakiemi są wędliny, mięsa solone, potrawy ostre, bakalie, któremi nikt nie powinien przesycać się Po ruchu tak nie zwyczajnym jak taniec, zwłaszcza kilkogodzinny, posiłek umiarkowany i dobrany jest najzbawienniejszy dla zdrowia, a straty wynikające z utrudzenia, właściwą żywnością i spoczynkiem rychło się wynagradzają. Wieczerza wszakże trwać powinna najmniéj trzy godziny, jeżeli tańce mają na nowo rozpocząć się; inaczéj trawienie zostanie przerwane, i zamiast zbawiennego skutku posiłku, zabawa i żywność zaszkodzą zdrowiu.

Napoje bywają ciepłe, zimne i zamrożone. Wino francuzkie trzyma pierwsze miejsce, bo zdrowe jest, pożywne i łatwe do strawienia; limonady, orszady i t. p. chociaż chłodzą pozornie, są przecież niestrawne i pobudzają poty; za najszkodliwsze zaś uważam lody, bo nie trzeba zapominać, że jak w spoczynku cieplik żołądka podnosi się, tak przeciwnie w ruchu zmniejsza się, dodając mu więcéj zimna sztucznego najłatwiéj w jednéj chwili spowodować przeziębienie tego organu.

Herbata, jakkolwiek u nas w używaniu, mało ma zalecających ją przymiotów; drażni żołądek, to prawda, ale nie żywi, użyta z ciastami, do ich strawienia, lecz znaczna ilość wody gorącéj, obejmująca cząstkę rozpuszczonéj herbaty, dopomaga potom, przyspiesza bieg krwi i osusza usta. Lepiéj jéj nie używać.

Szczególniejszą też zwrócić należy uwagę na odzież. Nie mówimy o ubraniu salonowem, bo nie mam prawa narzucać mody kroju hygienicznego, ale zdrowie wieleby zyskało na tem, gdybyśmy nie zapominali, że go nam nie na jeden tylko potrzeba wieczór. Zasada ogólna hygieniczna wracających z zabaw do domów powinna być ta: otulić sie ubraniem jak najcieplejszém od stóp do głowy; kto zaś nie jedzie karetą lub krytym powozem, to w mieście lepiéj niech wraca piechotą, jak w odkrytym powozie lub w sankach, mając, rozumie się, wzgląd na odległość miejsca

Przypuszczamy, że osoby oddane zabawom dobrze zachowają w pamięci rady hygieniczne, które zaleciliśmy i że wpłyną one korzystnie na stan zorowia. Pozostaje nam jeszcze zastanowić się nad porą w któréj odbywają się zabawy. Zabawy nocne pozbawiają snu; sen regularny, nieprzerwany i ograniczony pewną liczbą godzin, równoważy straty żywotne każdodzienne. Jeżeli, z powodu zatrudnień swych i pracy, człowiek żyć musi kosztem całéj ekonomii ciała, to sen pokrzepia jego siły, by nazajutrz z równą działały mocą.

Noc bezsenna jest dla zdrowia niczém niepowetowaną stratą. Trudno przecież zmienić ten przeciw hygieniczny zwyczaj bawienia się w nocy; lecz przynajmniéj niech osoby wątłego zdrowia, słabego wzroku i delikatne nie zapominają, że bezsenność jest dla nich najzjadliwszą trucizną.

Ś. p. Hoffmanowa, zakończając ustęp o zabawach w dziele wielce szacownem: O powinnościach kobiet, tak się wyraża: „Gromadźmy tylko koło siebie w biegu potocznego życia zatrudnienia, rozrywki, z małych rzeczy róbmy sobie przyjemności, nie bróńmy sobie niewinnych gustów, a nie będziemy szukać uciech nadzwyczajnych za domem. Uciechy zabawy mało są potrzebne do szczęścia, kiedy kto szczęście posiada."

PRZEMIANA.

I.

Po upalnym dniu lata
Słońce uszło w dal świata,
Zapadł wieczór już chłodny i cichy
I na sielskich obszarach,
Skąpał w rosy nektarach
Zwiędłe trawki i kwiatów kielichy.
Jedna gwiazdka i druga
Na niebiosach już mruga,
Księżyc chmurkę zasunął na czoło,
Słowik zaczął swe śpiewy,
A zefirów powiewy
Woń balsamu roznoszą w około. —
Tam w ogródku, przy zdroju,
Tam w altance z powoju,
Jak gołąbki, szczebioce ich dwoje,
Ona kwili jak dziecię,
On wysnuwa w zachwycie
Jasną przyszłość i złote sny swoje:
„A więc jutro, o luba,
Długa kończy się próba,
Jutro, ślubem złączeni na wieki,
Żyć zaczniemy rozkoszą,
Któréj smutki nie spłoszą,

Aż nam martwe zapadną powieki.
Ja w uroczém tu siele
Ciche gniazdko uściele,
Gdzie pod skrzydły odpoczniesz mojémi,
Tam ci co dzień przyniosę
Parę ziarnek i rosę,
Ty skrzydełkiem nie dotkniesz się ziemi.
I w niebieskich wód tonie
Razem z tobą pogonię,
Tam piosenkę zanucim słowiczą,
Aż wśród nocnych półcieni
Powrócimy znużeni,
Poić ducha miłości słodyczą.
A gdy los nam udzieli
Na gniazdeczka pościeli
Złożyć młodych słowiczków choć parę,
To gdy w piórka podrosną,
Razem z niemi radosną
W pieśniach niebu poniesiem ofiarę!“ —
I tak daléj i daléj
Słodko z sobą gruchali,
Aż ich deszczu spłoszyła kropelka.
Któż ten młodzian liryczny?
Któż aniołek ten śliczny?
Któż są oni? — To Staś i Anielka. —

II.

Ponad lichą mieściną,
Pod zasłoną chmur siną,
Słońce weszło i spało w podróży.
Tylko czasem przez szpary
Wychyliło łeb stary,
By się przejrzeć w błotnistéj kałuży.
Potokami deszcz leje,
Wiatr w kominach szaleje,
Zimno zewsząd zacina jak batem,
Wszędzie smutno, ponuro,
Bo z deszczową wraz chmurą
Nuda skrzydło rozpięła nad światem. —
Tam w obłoków pobliżu,
W nędznéj izbie, w negliżu,
Nad stolikiem mąż siedzi, przy piórze,
A dwa brudne chłopczyki
Wiodą płacze i krzyki,
Pani matka pomaga im w chórze:
„Oto mi jest wzór męża,
Żona siły wytęża,
A on jakieś wierszydła tam dłubie,
Czyś to taką niewolę,
Takie męki i bole,
Taką nędzę mi przyrzekł przy ślubie?
Żyję z tobą trzy lata,
Czy użyłam co świata?
Czy poznałam młodości rozkosze?
Od poranka do zmroku,
Ciągle w pracy natłoku,
Cały ciężar kłopotów ponoszę.
Choć mi zlewa pot czoło,
Żywię ciebie, gryzmoło,
I te ciągle wrzeszczące dzieciaki.
Cicho bądźcie krzykacze,
Bo jak które zapłacze,
To się rózgi mu dadzą we znaki!“ —
Ale duet się wzmaga,
Ona krzyczy i smaga,
On ku sieni kieruje się z cicha.
Wciągnął surdut obdarty
I kapelusz wytarty
I po deszczu wędruje i wzdycha.
Aż, gdy stanął na rynku,
Skręcił prosto do szynku,
Gdzie go spora pocieszy butelka. —
Kto ten człowiek zgnębiony?
Kto ten djabeł wcielony?
Któż są oni? — To Staś i Anielka. —

Poznań, 26 kwietnia 1870.

J. M.

ROZMAITOŚCI.

Kronika nowości piśmienniczych.

Biblioteka ordynacyi Krasińskich. Rok 1870. Warszawa. W drukarni Jana Jaworskiego. W 4ce. Str. 410.

Ś. Stanisław i Bolesław Śmiały. Antyteza dziejowa z uwzględnieniem rozmaitych zdań przeciwnych rozwijana przez Z. K. Drezno. Nakładem J. I. Kraszewskiego. W 12ce w. 1870. Str. 220.

Do najciekawszych rzeczy, ale oraz surowo zakazanych owoców, należą listy obce. Ach, żeby choć okiem rzucić do wnętrza rozdartéj koperty, co nieraz tuż pod ręką leży: — nawet możeby nikt nie widział. . nie wiedział; — jednakże rzadko kto się pokusi na tę grzeszną ciekawość. Liche papierki owe, ze szmat brudnych fabrykowane, kryją w sobie dla wszystkich, prócz dla odbiorcy, tysiączne tajemnice, niedostępne, choćby dla najpiękniéjszych oczu. Zatém też bywa, że się nieraz najniewinniejszy świstek posądza o Bóg wie jakie sekreta a są w nim rzeczy zgoła obojętne lub bez znaczenia. Ale w ogóle im kto znaczniejsze zajmuje stanowisko, im szersze ma znajomości, rozleglejsze pole działania, rozliczniejsze stósunki, tém ciekawszą jest jego korespondencya. Jakże zajmujace być muszą dopiero listy królów, ministrów itp. mężów stanu. Ale tych, choćby kto chciał grzeszyć, któż tam dopatrzy? Strzegą ich jak oka w głowie. Tak, strzegą póki mogą, kryją w niedostępnych archiwach: czas nawet pomaga zazdrości ludzkiéj, powlekając je odstraszającą warstwą pyłu, pleśni, których spokoju strzegą skorpiony i inne robactwo. Dopiero w długie wieki, gdy się już dawno w prochy rozsypały zwłoki tych co pisali i odbierali listy, gdy nieraz pamięć ich nawet prawie do szczętu się zatarła, wynoszą, trzepią, notują, odczytują, przepisują — ba, nawet drukują i przedają je na publicznéｍ targowisku, — a tajemnice, których dostrzeżenie dla współczesnych było wzbronione, nawet mogło ściągnąć karę surową, stają się dostępnemi dla byle pachołka. Nie dziw więc że i ja dziś występuję przed czytelników z wielką księgą, zawierającą kilkaset listów wiekopomnéj pamięci króla Zygmunta Augusta i jego podkanclerzego, biskupa Franciszka Krasińskiego, które ród Krasińskich wydaje. Gdybym się onego czasu był dostał do nich i choć słówko pisnął co zawierają, pewnoby mnie w lochach Wawelu osadzono do „prezonu.“ Dziś bezkarnie opowiedzieć mógłbym wszystkim niejedną tajemnicę, która koronowaną głowę ostatniego Jagiellończyka nieraz kołatała po bezsennych nocach.

Listy zawarte w téj księdze (z lat 1570 i 1571) odnoszą się bowiem głównie do kłopotliwych spraw sukcesyi Zygmunta po matce, do księstwa Bari, owych sum neapolitańskich, sreber, klejnotów, nawet krzyżyka, pierścienia i „kołdry złotogłowowéj“, którą podczas pogrzebu Bony, ciało jéj okryte było. Pisane są do różnych potentatów, a głównie też do kardynała Hozyusza, rezydującego wówczas w Rzymie i X. Kłodzińskiego, agenta królewskiego w Neapolu itd. Historyk zajmujący się tą sprawą, znajdzie w nich obfity materyał, a gawędziarz ciekawe szczegóły dla życia z owych czasów. Czy naprzykład rzecz nie ciekawa, dowiedzieć się, że ambasador Hozyusz w Rzymie brał od króla 4000 dukatów neapolitańskich*) rocznie, a wyżyć z nich nie mógł, choć biskupstwo warmińskie też przecie nie ostatnie miało dochody. Ale bo też ksiądz kardynał sobie nie żałował, a o wy-

*) Dla numizmatyków ciekawe są szczegóły na stronie 59, 90, 94, 101, 129, 177 i 178.

stawności i kosztowności życia jego, tak dziwne do Krakowa dochodziły posłuchy, że ksiądz podkanclerzy z respektem i po przyjacielsku kilkakrotnie odważył się na wymówki i przestrogi. Poseł u dworu hiszpańskiego brał tylko 2000 dukatów, a u cesarza, 200 tal. miesięcznie, zaś podczas sejmu Rzeszy po 300. Wszyscy się skarżyli że mało. — Dalej np. list no. CLXXV (do Wolskiego, posłującego w Hiszpanii) jest prawdziwym wzorem i podręcznikiem dla dyplomaty polskiego z owych czasów, uczący obejścia z ludźmi, używania listów królewskich: komu o nich mówić a komu pokazać, jak tłómaczyć, jak dla wrażenia okazywać pieczęć sygnetu królewskiego itp. drobiazgowe nauki oraz wskazówki, jak z królem korespondować należy dwojako: do kancelaryi i do tajnego gabinetu, którego przełożonym nb. był ks. Patrycy, przysłany z Rzymu.

Nieraz w listach traktujących poważne sprawy stanu, znajdujemy wzmianki o ciekawych sprawuneczkach prywatnych. Tak ks. Kłodziński z Neapolu przesłać musiał jakąś „aquam florum genestrae" (genestae?) której król używał na cierpienia kataralne, a ks. podkanclerzy często dziękuje temuż za odebraną mannę (de corpo), prosi „o mannę de fronde", biskoty i mustacyole i „inne rzeczy na te defluxus catherusales... zwłaszcza iż teraz przed sejmem siłę tego używać będę nie tylko sam, ale i drudzy podobno panowie w radzie, ut fit, miasto śniadania." Pozostawiam fachowym rozsądzeniu, czy rzeczy te potrzebne być mogły do apteczki czy śpiżarni księdza podkanclerzego.

Może czytelnik rozciekawiony zapyta, jaką drogą, jakim sposobem w owych czasach, bez spedytorów, poczt i kolei, listy te i przesyłki po świecie chodziły. Co do listów pośpiesznych, szły przez kuryerów, czyli jak wówczas mówiono „kursorów", regularnie wysełanych do Wiednia, gdzie był główny pocztamt królewski, a z tamtąd szły trakty kursorskie na Wenecyą do Rzymu, inny do Hiszpanii itd. Przesyłki szły drogą handlową, na wiarę znajomych kupców, mających szerokie stosunki. Jużci trudności były ogromne, zguby częste, straty liczne. Mytnicy cesarscy nawet pozwalali sobie nieraz zatrzymywać i przetrząsać (szyndować) kursorów królewskich na granicy, a częściéj jeszcze przesyłki, zwłaszcza kosztowniejsze, zabierali po drodze w Niemczech rabusie. Tak zabrali w Saksonii transport idący z Norymbergii ze srebrami dla pana Wołłowicza. Ale przecież policya elektorska pochwyciła łupiezców, a Zygmunt August, nieoceniony pan, dowiedziawszy się o tém, na drodze dyplomatycznéj podziękował elektorowi za opiekę interesów obywatela Rpltéj. To też zapewne dla niepewności traktów i niepoliczonych kordonów celnych, które przecinały Rzeszę, Krasiński aż do cesarza i arcyksięcia Karola udawał się o glejt na „sześć barilów" wina włoskiego, które miał sobie z Włoch sprowadzić, bo mu lekarze pić je nakazali. O gdyby to dzisiejsi także zapisywali recepty, kiedy Paxaretes i Lacrymę Chrysti w każdéj sprzedają winiarni.

Ciekawe, ale z poważniejszéj strony, są listy Zygmunta do ambasadora swego u dworu cesarskiego i cesarza samego. Pisarze i politycy dzisiejsi odzywając się nieustannie proroczym głosem do Europy, że jeśli nie postawi naturalnéj zapory między sobą a Moskwą, od wieków potężniejący olbrzym północy zwali się kiedyś na nią i przyciśnie potęgą żelaznéj pięści, powtarzają tylko słowa dawnych królów naszych. Niejednokrotnie Zygmunt ostrzega cesarza i Rzeszę przed zaprzysiężonym wrogiem „latini nominis" i Rpltéj chrześcijańskiéj, wskazując na praktyki, które czynił w tenczas nietylko w zmowie z królem duńskim, ale i z niektórymi elektorami Rzeszy, w celu ażeby się dobrać do brzegów Bałtyku, zagrabić Litwę i pomykać się coraz daléj w serce Europy. Pokazuje się że królowie nasi byli lepszymi prorokami jak mężami stanu. Przypominam i Jana Kazimierza.

Aż nadto na skromną figurę mą rozpisałem się o wydawnictwie Krasińskich, a jeszcze nie mogę się oderwać od niniejszego tomu biblioteki ich, nie udarowawszy i sportsmenów naszych upominkiem z czasów zygmuntowskich. Może w żadnym kraju z owych czasów, sport — ale rozsądny — nie kwitł tak jak w Polsce. Wnoszę to nietylko z listu z którego się dowiadujemy, jak się cesarz przymawiał o konie polskie, ale, z nader wyrobionéj jak się zdaje, terminologii sportsmeńskiéj, któréj w listach tych żywe znajduję ślady. Zygmunt tak pisze do ambasadora swego: „Posyłamy tam cesarzowi J. M. ośm inochodników przez Prospera, kawalkatora naszego, których sierść każdego z osobna z karty w tym liście zamkniionéj wyrozumiecie. Przez tegoż posyłamy i woźników dziewięć rysiowatych (zdaje się, że maść ta wówczas była w modzie, bo o takie prosiła cesarzowa), chociaż o ośmiu tylko piszemy, bo jednak tego dziewiątego na zamiar posyłamy, dla jakiéj przygody." Spis koni zaś jest taki: „Inochodniki które się J. C. M. posłały: cisawy słojesz Krasicki, cisawy Lwowski, siwa dropiaty Podolski, brudnosiwy Zaleski, brudnosiwy Podlodowski, wrony Sanocki, siwy Koniuszy, siwo dropiaty Krzeszowski." Niechcę tłumaczyć nazw tych, czy one oznaczają stadniny królewskie, czy właścicieli, od których je skupiono; przypominam tylko, że i dziś w każdéj prawie stajni, ten i ów koń zwykł nosić jakieś okolicznościowe miano swego pochodzenia.

Nie wiem czy nazwać zrządzeniem losów, czy utrapieniem dla czytelników, że zmuszony dziś jestem uwagę ich sprowadzać na odległe wieki. Ha! różnie się to przygadza nam kronikarzom. Co gorsza, że zamiast wybrnąć z historyi, w dalszym ciągu méj gawędy powiodę ich ciekawość jeszcze daléj, z wieku szesnastego aż gdzieś w wiek jedynasty, kiedy nad Polską władało berło jednego z największych a najnieszczęśliwszych Piastów, — w czasy Bolesława Śmiałego.

Z pobożnych tradycyi polskich najogólniéj znaną jest legenda o św. Stanisławie biskupie, zabitym przez Bolesława Śmiałego. Jako legenda wrosła w świadomość ogólną, nic jéj ztamtąd nie wyruguje, nikt jéj téż tykać nie myśli. Ale jak to różni ludzie i ludziska na świecie bywają, tak są téż niektórzy, co ich zwą krytycznymi historykami, którzy bez ubliżania czyimkolwiek przekonaniom, zawzięci są na zbadanie ścisłe wszystkiego co było i jak było, choćby tysiąc lat temu. Nie zawsze im się to udaje; niekiedy więc zadawalniają się wykazać, że nie tak było, jak dotąd utrzymywano, zostawując istotny stan rzeczy w zawieszeniu dla dalszych badań. Tak więc i p. Z. K. nie przecząc bynajmniéj faktowi okropnéj śmierci św. Stanisława, stara się wykazać że nie podobno dziś dokumentnie osądzić z jakich pobudek i pod wpływem jakich okoliczności przyszło do tak straszliwéj katastrofy o zgubnych następstwach dla wielkiego króla i kraju; albowiem starzy pisarze zbyt mało nam przekazali wiadomości. Dziwna rzecz, że Gallus, kronikarz, piszący w 30 lat po męczeństwie św. Stanisława, a przed kanonizacyą, przedstawia rzecz po prostu tak, jakoby biskup zdradził króla, a za zdradę stanu ukaranym był srogą ale wonczas używaną karą rozsiekania członków. Ten Gallus wszystkiemu winien. W 30 lat po zdarzeniu tém, choć gazet wonczas nie było, i ludzie mało pisali, jednak wiedzieć dokładnie musieli co i jak się stało. Ale on zbywa rzecz krótko dodając tylko, że choć biskup był zdrajcą, nie uprawniało to króla do zawieszenia nań pogańskiéj i barbarzyńskiéj kary. Zdrowo tedy płochemu pisarzowi, że ludzie mu nie wierzą a nawet posądzają go o fałsz. Jużci że skłamał jeżli jasno prawdy nie powiedział a dał powód do różnych tłumaczeń. Drugi dziejopisarz żyjący w 400 lat późniéj, nie lepiéj się sprawił. Patryarcha to naszych historyków, poważny Długosz, napisał osobny życiorys św. Stanisława. Ale jakże jemu wierzyć na słowo, kiedy sam przyznaje, że pisał z „powagi nakazujących" i prosi żeby mu wybaczyć „niewłaściwą mowę." Już to samo podejrzaną czyni wartość jego dzieła, w którém z resztą pełno jest sprzeczności. Bolesława Śmiałego raz przedstawia jako bohatera i wielkiego króla, jakby z respektu dla głowy monarszéj, to znów jako ostatniego zbereźnika, o którego sprawkach mówić tu nawet nie mogę ze względu na szanowne czytelniczki. Raz biskupa wywodzi z szlacheckiego rodu, to znów prawi, że był z niskiego pochodzenia, a co najgorsza, każe mu się doktoryzować za granicą w czasie, kiedy jeszcze Polacy po doktorskie kapelusze nie jeździli po świecie, bo w ogóle nie istniał zwyczaj doktoryzowania się. Sprzeczności w biegu wypadków Długosz zwykle godzi pośrednictwem wpływów szatana.

Autor wykazawszy stanowisko Gallusa, Długosza i jego następców (Skargi, Prażmowskiego, Dzieduszyckiego) staje dość wyraźnie w obronie króla, któremu Polska zawdzięczała tyle chwały, i konstatuje, o ile podobno ze szczupłych źródeł, że król ten upadł w końcu świetnéj karyery skutkiem walki w obronie praw ludu przeciwko uciemiężeniu możnowładztwa popieranego przez biskupa, szerzącego teokratyczne idee Grzegorza VII. Przyznaje jednakże, że w całéj sprawie: sub judice lis est.

Dzieło jego zaleca się przedewszystkiém metodą krytyczną, jaką się rzadko spotyka w polskich dziełach historycznych.

Zagadka głoskowa.

W trzech wyrazach jedno brzmienie —
Z główką zmienia swe znaczenie
Jeżli stoi *k* na czele,
Jest w dzienniku w piśmie, w dziele,
Gdy mu *m* na karku siędzie,
Wtedy stoi w imion rzędzie;
A gdy *w* na przedzie kroczy
To za sobą wodę toczy,
Albo chodzi z bronią w ręku.
Ot jest sęk i dziura w sęku.

(Rozwiązanie szarady w numerze 17: **Saragossa.**)

Korespondencya Redakcyi.

Panu Ziem. w Berlinie. Zastosujemy się do Pańskiego żądania. Zarządowi Muzeum Historycznego. O fotografię gmachu upraszamy, i gdy ją mieć będziemy w tenczas z ryciną artykuł drukowany być może. Panu Narzy. w Krakowie. za dni kilka otrzyma Pan list, w którym warunki nasze zakomunikujemy... przyspieszenie rozprawki wiadomej byłoby bardzo przez nas pożądane. Sprawozdania z wystawy oczekujemy. Panu J. w Raszkówku. Zgadłeś Pan, o czém obecny numer niech świadczy.